

LEON SAZIE.

ZIGOMAR

STRASZLIWY BANDYTA.

33

Po chwili usłyszała rozlegające się na korytarzu silne chrapanie. Środek nasenny podział. Wówczas hrabina szybko ubrała się w kostium dozorczyń szpitalnej, otworzyła bez szelestu drzwi i wyszła na korytarz. Na planie, który dobrze wystudowała, miała oznaczoną drogę do okna, wychodzącego na ulicę d'Arcole.

Banda Zigomara, pod dowództwem Mistrza, czekała tam na nią. Gdy w oknie ukazała się biała sylwetka hrabiny, bandyci rozciągnęli pod oknem siatkę. Hrabina skoczyła i w kilka minut później, wolna i radosna pędziła samochodem Mistrza. Zigomar tryumfował, porwał detektywowi jego więźnia. W radości tej, Zigomar zapomniał obejrzeć się poza siebie i nie widział, jak agent Paulina Broquet'a zamykał okno, przez które uciekła hrabina. Miał on rozkaz od swego szefa, by nie przeszkadzał ucieczce hrabiny.

W pobliżu szpitala rozstawieni byli inni ajenci, którzy mieli śledzić hrabinę po ucieczce i dowiedzieć się, gdzie się ukryje. Za samochodem Zigomara pędził inny, w którym siedzieli ajenci detektywa. Stwierdzili oni, że hrabina weszła do pałacu markiza don Martolo. Teraz Paulin Broquet miał pretekst do zrewidowania tego mieszkania. A na ten pretekst czekał oddawna. Tak więc Zigomar, organizując ucieczkę hrabiny Wassowa, oddał tem bezwiednie przysługę znienawidzonemu przez siebie detektywowi.

ROZDZIAŁ XXVIII.

Japończycy.

Paulin Broquet nie dowierzając strażom postawionym przy armatach ani nawet przyrządowi wybuchowemu, który umieścił w budynku, wieczorem udał się na pole ćwiczeń ze swą brygadą. Rozstawił ludzi w różnych miejscach pola, sam zaś z Gabryelem zasiadł w rowie przy drodze. Pewny był, że Zigomar pokusi się o zdobycie części armaty i postanowił działać bez litości.

— Moi chłopcy — rzekł do swych pomocników — dziś jesteśmy nie tylko na usługach sprawiedliwości, dziś jesteśmy żołnierzami, obrońcami ojczyzny. Działajcie więc bez litości. Jesteśmy uzbrojeni, nie wahajcie się więc użyć swej broni!

Czekano długo bez rezultatu. Zigomar nie pojawiał się.

Może Zigomar przekonał się, że zamach jest niemożliwy, może odłoży go do jutra.

Gdy to mówił, w ciszy nocnej rozległ się hałas motoru. Na drodze nic nie było widać.

— To jakiś automobil się zbliża bez świateł — to znaczy, że przybywa ze złemi zamiarami.

— Zigomar...

— Bardzo możliwe.

Nadsłuchiwali, ale hałas motoru nagle ucichł.

— Dziwne — mruknął detektyw — czyżby mieli iść piechotą?

W tej chwili na drodze ukazały się trzy rowery, również bez latarni. Jadący na nich ludzie rozmawiali ze sobą i Paulin Broquet dosłyszał parę słów, parę dźwięków właściwie.

— Japończycy — szepnął detektyw do Gabryela — czy pamiętasz kartkę, znalezioną u Schmitta: „Trzeba mieć D. R. przed Jap“...

— Tak, panie szefie!

— Jak widzisz — zachodzi rywalizacja między Zigomarem i Japończykami.

Paulin Broquet namyślał się przez chwilę, czy nie dać sygnału swym ludziom, ale postanowił działać inaczej.

— Chodźmy — rzekł do Gabryela — zobaczyć, co się tam dzieje.

Poczęli biec w stronę budynku. Po drodze ujrzeli trzy rowery leżące. Paulin Broquet szybko przy pomocy noża, zdjął łańcuchy z kółek.

Nie będą mogli uciec.

Gdy zbliżyli się do budynku, gdzie mieściły się armaty, usłyszeli silną eksplozję.

— Acha! — rzekł detektyw — dobierali się do armat!

Dopał budynku i szybko otworzył drzwi, po czym wyjął z kieszeni latarkę elektryczną. W budynku nie było nikogo. Po chwili nadbiegł oficer z wartą. Paulin Broquet dał mu się poznać, poczem dalej prowadził poszukiwania. Koło aparatu, który wybuchnął, detektyw wśród kałuży krwi znalazł koniec oderwanego palca. Zabrawszy Gabryela i paru agentów, puścił się w pogoń. Ale Japończycy znikli.

Po wybuchu, którego się nie spodziewali, towarzysze tego, który został zraniony, skoczyli mu na pomoc i trzymając go pod ramiona, popędzili do rowerów. Ponieważ te okazały się nie do użycia, więc



Na drodze ukazały się trzy rowery.

biegli dalej, popychając je przed sobą. Nie potrzebowali biec długo, automobil jechał na ich spotkanie. Wsadzono doń rannego, wrzucono rowery i automobil całym pędem oddalił się w stronę Paryża. Zatrzymał się przy domu, gdzie mieszkał porucznik Maritzu. Natychmiast wezwano przez telefon najznakomitszych lekarzy japońskich, bawiących w Paryżu. Żeby ruchem, jaki powstał przez to w mieszkaniu, nie wzbudzać podejrzeń u sąsiadów, jeden z towarzyszy rannego zasiadł do fortepianu, inni poczęli śpiewać. Można więc było przypuszczać, że u porucznika Maritzu odbywa się wesołe zebranie.

Lekarze, zbadawszy poszarpaną rękę, orzekli, że natychmiastowa amputacja jest niezbędna.

— To jest niemożliwe — rzekł generał baron Osaka.

— Ale jutro — odparli lekarze — może się rozpocząć gangrena.

— Temu powinni panowie zapobiedz przez opatrunk. Jutro musimy być na dalszej próbie armaty Rimailho. Musimy być wszyscy, nie wyłączając porucznika. Panowie rozumieją?

— Tak, generale.

— Eksplozja, której ofiarą padł porucznik, spowoduje śledztwo. Jeżeli jutro porucznik Maritzu nie

stawi się przy moim boku na polu ćwiczeń, wzbudzi to podejrzenia, niemniej gdyby się stawił bez ręki. Musi więc być jutro na placu i mieć pozory człowieka zupełnie zdrowego. Chodzi tu o honor Japonii, panowie.

Lekarze skłonili się i zabrali się do opatrunku.

— Więc panowie są zdania, że amputacja jutro jest niezbędna?

— Absolutnie.

— Dobrze. Kiedy podczas ćwiczeń wszyscy przekonają się, że porucznik jest zdrow, wówczas zajdzie jakiś wypadek, przy którym skaleczy się ciężko w rękę i wówczas będzie ją można amputować bez wzbudzania podejrzenia.

Na drugi dzień rano porucznik Maritzu stawił się w mieszkaniu generała wraz ze swymi towarzyszami, ubrany, jak zawsze w mundurze i w białych rękawiczkach na obu rękach.

— Jak się pan czuje dzisiaj? — zapytał go generał.

— Jestem dość silny, żeby spełnić obowiązek.

— Dobrze. Lekarze powiedzieli panu...

— Że amputacja jest niezbędna... Tak jest, panie generale.

— Ale nie powinien pan teraz okazać, że pan jest ranny.

— Nikt po mnie tego nie pozna, panie generale.

— Czy pan już obmyślił wypadek, który zajdzie dziś rano i po którym natychmiast nastąpi operacja?

— Tak jest, panie generale.

— Dobrze. Odwagi poruczniku! A teraz w drogę, panowie!

Wszyscy wsiedli do samochodu i pojechali na pole ćwiczeń. W drodze, w pewnej chwili generał spojrzał na porucznika i zobaczył łzy w jego oczach.

— Przypuszczam, iż pan płacze tylko dlatego, że nie będzie pan mógł dalej służyć?

— Tak jest, panie generale.

— W każdym razie będzie pan mógł oddać ojczyźnie jeszcze nie jedną przysługę. Niech pan obetrze oczy — przybywamy na pole.

Automobil generała Osaka stanął w taki sposób, że przeszkadzał ruchowi pojazdów.

Generał ze swoją świtą podszedł do grupy oficerów różnych narodowości. Godzina, na którą wyznaczona była próba, minęła.

— Na co jeszcze czekają? — zapytał generał Osaka. — Odpowiedziano mu, że w nocy był zamach na armaty i że obecnie odbywa się śledztwo, że wezwano samego Paulin'a Broquet'a.

— Ach, tak? No i cóż, znaleziono jakie ślady?

— Niewiedomo... Ale otóż i on sam. Może nam powie...

P. Broquet ukazał się w drzwiach budynku w towarzystwie prefekta policji i szefa bezpieczeństwa. Instynktownie rzucił okiem na grupę oficerów japońskich. W tej chwili do generała Osaka podszedł podoficer służbowy, prosząc, żeby wydał rozkaz swemu szoferowi, z którym niepodobna się rozmówić, a który stanął ze swym samochodem tak, że tamuje ruch.

Generał zwrócił się do porucznika Maritzu.

— Proszę pójść zobaczyć, co się tam stało?

Porucznik oddalił się równym i spokojnym krokiem. Podszedłszy do samochodu, zamienił parę słów z szoferem, który pochylił się, żeby zakręcić korbę. Jednocześnie porucznik nachylił się nad motorem, jakby czegoś szukając, poczem skinął lewą ręką na szofera. Ten zakręcił korbą, wprawiając w ruch motor, porucznik zaś, zdjawszy rękawiczkę ze zranionej ręki, włożył ją do środka, między skrzydła wewnętrznego wentylatora, obracającego się z szaloną szybkością, palce u ręki zostały zgruchotane.

Dzięki swemu poświęceniu, dzięki niesłychanej sile woli i odwadze, porucznik Maritzu ocalił honor Japonii i odwrócił wszelkie podejrzenia od siebie i swych towarzyszy. Ale najsilniejsza wola ma swe granice. Po dokonaniu tego bohaterskiego czynu, porucznik Maritzu zachwiał się na nogach i byłby upadł, gdyby go nie podtrzymały silne ramiona Paulin'a Broquet'a.

— Spóźniłem się, panie poruczniku — rzekł de-